

Towarzysz podróży

Biedny Johannes był w wielkim smutku: jego ojciec leżał przy śmierci. Byli sami w swojej izdebce; lampa na stole dogasała; zbliżała się noc.

— Byłeś dla mnie dobrym synem, Johannesie! — powiedział chory. — Bóg nie opuści cię swojej łaski!

I spojrzał na Johannesa łagodnie, lecz poważnie, głęboko westchnął i umarł, jakby zasnął. Johannes zapłakał. Teraz został zupełnym sierotą: nie miał ani ojca, ani matki, ani sióstr, ani braci! Biedny Johannesie! Długo stał na kolanach przed łóżkiem i całował ręce zmarłego, zalewając się gorzkimi łzami, lecz potem oczy mu się zamknęły, głowa skłoniła się na kraj pościeli i zasnął.

I przyśnił mu się cudowny sen.

Widział, jak słońce i księżyc schyliły się przed nim, widział swojego ojca znów świeżego i rześkiego, słyszał jego śmiech, takim jakim zawsze się śmiał, gdy był szczególnie wesoły; przepiękna dziewczyna ze złotą koroną na cudnych długich włosach wyciągała do Johannes'a rękę, a ojciec jego mówił: „Widzisz, jaką masz narzeczoną? Pierwsza piękność na świecie!”

Tu Johannes obudził się i żegnaj wszelka ta wspaniałość! Ojciec jego leżał martwy, zimny, i nikogo nie było u Johannes'a! Biedny Johannesie!

Po tygodniu zmarłego grzebano; Johannes szedł za trumną. Nie miał już więcej oglądać swojego ojca, który tak go kochał! Johannes słyszał, jak ziemia uderzała o wieko trumny, widział, jak trumnę zasypywano: oto już widać tylko jeden skrawek, jeszcze garść ziemi — i trumna zniknęła zupełnie. U Johannes'a prawie pękło serce z żalu. Nad grobem śpiewano psalmy; cudowne śpiewanie wzruszyło Johannes'a do łez, zapłakał i na duszy zrobiło mu się lżej. Słońce tak przyjaźnie oświetlało zielone drzewa, jakby mówiło: „Nie smuć się, Johannesie! Spójrz, jakie piękne błękitne niebo — tam twój ojciec modli się za ciebie!”

— Będę prowadził dobre życie! — powiedział Johannes. — I wtedy ja też pójdę do nieba do ojca. Ależ to będzie radość, gdy znów się spotkamy! Ileż to będę miał opowieści! A on pokaże mi wszystkie cuda i piękno nieba i znów będzie mnie uczył, jak uczył dawniej tutaj, na ziemi. Ależ to będzie radość!

I tak żywo sobie to wszystko wyobraził, że nawet uśmiechnął się przez łzy. Ptaszki siedzące na gałęziach kasztanów głośno ćwierkały i śpiewały; było im wesoło, choć dopiero co były obecne przy pogrzebie, ale one przecież wiedziały, że zmarły jest

teraz w niebie, że wyrosły mu skrzydła, dużo piękniejsze i większe niż u nich, i że jest całkowicie szczęśliwy, ponieważ prowadził tutaj, na ziemi, dobre życie.

Johannes zobaczył, jak ptaszki frunęły z zielonych drzew i unosiły się wysoko-wysoko, i samemu zachciało mu się odlecieć gdzieś daleko. Lecz najpierw trzeba było postawić na grobie ojca drewniany krzyż. Wieczorem przyniósł krzyż i zobaczył, że grób cały usypany był piaskiem i ozdobiony kwiatami, — o to zatroszczyli się obcy ludzie, bardzo kochający jego dobrego ojca.

Nazajutrz wcześniej rano Johannes związał cały swój dobytek w mały węzełek, schował w pas cały swój kapitał, jaki dostał w spadku, — pięćdziesiąt talarów i kilka srebrnych monet, i był gotów wyruszyć w drogę. Lecz przedtem udał się na cmentarz, na grób ojca, odmówił nad nim „Ojcze nasz” i powiedział:

— Żegnaj, ojcze! Postaram się zawsze być dobrym, a ty pomódl się za mnie w niebie!

Potem Johannes skręcił w pole. W polu rosło wiele świeżych, pięknych kwiatów; grzały się w słońcu i kiwały na wietrze główkami, jakby mówiły: „Witajcie! Prawda, jak u nas tu dobrze?” Johannes jeszcze raz obejrzał się, by spojrzeć na stary kościół, gdzie ochrzczono go jako dziecko i kędy chodził w niedziele ze swoim dobrym ojcem śpiewać psalmy. Wysoko-wysoko, na samym szczycie dzwonnicy, w jednym z okrągłych okienek Johannes zobaczył malutkiego skrzata w czerwonej ostrokończastej czapce, który stał, zasłaniając oczy od słońca prawą ręką. Johannes uklonił mu się, a maleńki skrzat wysoko machnął w odpowiedzi swoją czerwoną czapką, przyłożył rękę do serca i posłał Johannesowi kilka powietrznych pocałunków — oto jak gorąco życzył Johannesowi szczęśliwej drogi i wszystkiego dobrego!

Johannes zaczął myśleć o cudach, które czekały go w tym ogromnym, pięknym świecie, i dzielnie szedł naprzód, coraz dalej i dalej, tam, gdzie nigdy jeszcze nie był; oto już pojawiły się obce miasta, nieznane twarze, — zabrął daleko-daleko od swojej ojczyzny.

Pierwszą noc musiał spędzić w polu, w stogu siana, — innego łóżka nie było gdzie wziąć. „No i cóż, — myślał sobie, — lepszej sypialni nie znajdzie się u samego króla!” Istotnie, pole z potoczkiem, stóg siana i błękitne niebo nad głową — cóż to nie za sypialnia? Zamiast dywanu — zielona trawa z czerwonymi i białymi kwiatami, zamiast bukietów w wazonach — krzaki bzu i dzikiej róży, zamiast umywalki — potoczek z kryształowo świeżą wodą, zaposły trzcina, która przyjaźnie kłaniała się Johannesowi i życzyła mu zarówno dobrej nocy, jak i dobrego poranka. Wysoko nad błękitnym sufitem wisiał ogromny nocnik — księżyc; ten nocnik już nie podpali zasłon! I Johannes mógł zasnąć zupełnie spokojnie. Tak też zrobił, mocno

przespał całą noc i obudził się dopiero wcześniej rano, gdy słońce już świeciło, a ptaki śpiewały:

— Dzień dobry! Dzień dobry! Czy jeszcze nie wstałeś?

Dzwony wzywały do kościoła, była niedziela; lud szedł wysłuchać księdza; poszedł za nimi i Johannes, odśpiewał psalm, wysłuchał słowa bożego i wydało mu się, że był we własnym kościele, gdzie go ochrzczono i куда chodził z ojcem śpiewać psalmy.

Na cmentarzu kościelnym było wiele grobów, zupełnie zarosłych chwastami. Johannes przypomniał sobie grób ojca, który z czasem mógł przyjąć taki sam wygląd, — nie było przecież komu się nim zajmować! Usiadł na ziemi i zaczął wyrywać chwasty, poprawił chwiejące się krzyże i położył na miejsce zerwane przez wiatr wieńce, myśląc przy tym: „Może ktoś robi to samo na grobie mojego ojca”.

Przy bramie cmentarza stał stary kaleka żebrak; Johannes oddał mu całą drobną srebrną monetę i wesoło poszedł dalej w biały świat.

Ku wieczorowi zebrała się burza; Johannes spieszył się, by gdzieś się schronić na noc, lecz szybko zapadła całkowita ciemność i zdążył dojść tylko do kapliczki, samotnie wznoszącej się na przydrożnym wzgórzu; drzwi, na szczęście, były otwarte i wszedł tam, by przeczekać nie pogodę.

— Tu sobie posiedzę w kącie! — powiedział Johannes. — Jestem bardzo zmęczony i muszę odpocząć.

I osunął się na podłogę, złożył ręce, odmówił modlitwę wieczorną i jeszcze jakie znał, potem zasnął i spał spokojnie, dopóki na polu błyskały pioruny i grzmiał rąm.

Gdy Johannes się obudził, burza już minęła, a księżyc świecił prosto w okna. Pośrodku kapliczki stała otwarta trumna ze zmarłym, którego jeszcze nie zdążono pochować. Johannes wcale się nie przestraszył, — sumienie miał czyste i dobrze wiedział, że umarli nikomu nie czynią zła, nie to co żywi źli ludzie. Dwóch takich właśnie stało przy zmarłym, ustawionym w kapliczce w oczekiwaniu na pogrzeb. Chcieli znieważać biednego zmarłego — wyrzucić go z trumny na próg.

— Dlaczego to robicie? — zapytał ich Johannes. — To bardzo źle i grzesznie! Pozwólcie mu spoczywać w pokoju!

— Bzdura! — powiedzieli źli ludzie. — On nas oszukał! Wziął od nas pieniądze, nie oddał i umarł! Teraz nie otrzymamy od niego ani grosza; więc choć się zemścimy — niech leży jak pies za drzwiami!

— Mam tylko pięćdziesiąt talarów, — powiedział Johannes, — to cały mój spadek, lecz chętnie wam je oddam, jeśli dacie mi słowo zostawić biednego zmarłego w spokoju! Obędę się i bez pieniędzy, mam parę zdrowych rąk, a i Bóg mnie nie opuści!

— No, — powiedzieli źli ludzie, — jeśli zapłacisz nam za niego, nie zrobimy mu nic złego, bądź spokojny!

I wzięli od Johanna pieniądze, zaśmiali się z jego prostoty i poszli swoją drogą, a Johannes dobrze ułożył zmarłego w trumnie, skrzyżował mu ręce, pożegnał się z nim i z wesołym sercem ponownie wyruszył w drogę.

Trzeba było iść przez las; między drzewami, oświetlonymi blaskiem księżyca, igrały przepiękne malutkie elfy; wcale nie bały się Johanna; dobrze wiedziały, że jest dobrym, niewinnym człowiekiem, a przecież tylko źli ludzie nie mogą widzieć elfów. Niektóre z maluchów były nie większe od małego palca i czesały swoje długie blond włosy złotymi grzebieniami, inne huśtały się na dużych kroplach rosy, leżących na liściach i łodyżkach trawy; czasami

Kropla staczała się, a wraz z nią elfy, prosto w gęstą trawę, i wtedy wśród pozostałych maluczkich wybuchał taki śmiech i zamieszanie! Strasznie zabawne było! Śpiewały, a Johannes poznał wszystkie ładne piosenki, które sam śpiewał jeszcze jako dziecko. Wielkie, pstrokate pajaki ze srebrnymi koronami na głowach musiały przerzucać dla elfów z krzaka na krzak wiszące mosty i tkać całe pałace, które, gdy spadała na nie kropla rosy, lśniły w świetle księżyca jak czysty kryształ. Ale oto wzeszło słońce, maleńkie elfy wdrapały się do kielichów kwiatów, a wiatr porwał ich mosty i pałace i uniósł w powietrze, niczym zwykłe pajęczyny.

Johannes wyszedł już z lasu, gdy nagle za nim rozległ się dźwięczny męski głos:

– Hej, towarzyszu, dokąd zmierzasz?

– Dokąd oczy poniosą! – rzekł Johannes. – Nie mam ani ojca, ani matki, jestem zupełnym sierotą, ale Bóg mnie nie opuści!

– Ja również idę po białym świecie, dokąd oczy poniosą – powiedział nieznajomy. – Może pójdziemy razem?

– Chodźmy! – said Johannes i ruszyli razem.

Wkrótce bardzo się polubili: obaj byli dobrymi ludźmi. Ale Johannes zauważył, że nieznajomy był znacznie mądrzejszy od niego, obejrzał niemal cały świat i umiał opowiadać o wszystkim.

Słońce stało już wysoko, gdy przysiedli pod wielkim drzewem, by coś przekąsić. I wtedy pojawiła się schorowana staruszka, całkiem zgarbiona, z kijem w rękę; na plecach miała wiąź chrustu, a z wysoko podpiętego fartucha wystawały trzy duże pęki paproci i wierzbowych prętów. Gdy staruszka zrównała się z Johannesem i jego towarzyszem, nagle poślizgnęła się, upadła i głośno krzyknęła: biedaczka złamała sobie nogę.

Johannes natychmiast zaproponował towarzyszowi, by zanieść staruszkę do domu, lecz nieznajomy otworzył swój worek, wyjął słoiczek i powiedział staruszce, że ma taką maść, która natychmiast ją uleczy, i pójdzie do domu, jakby nic się nie stało. Ale za to musi mu podarować te trzy pęki, które ma w fartuchu.

- Zapłata dobra! - rzekła staruszka i jakoś dziwnie potrząsnęła głową. Nie chciała rozstawać się ze swoimi prętami, ale leżeć ze złamaną nogą też było niemiło, więc oddała mu pręty, a on natychmiast posmarował jej nogę maścią; raz, dwa - i staruszka zerwała się i ruszyła żwawiej niż przedtem. Oto była maść! Takiej nie dostaniesz w aptece!

- Na co ci te pręty? - zapytał Johannes towarzysza.

- A czemuż to nie bukiety? - odrzekł tamten. - Bardzo mi się spodobały: jestem przecież dziwakiem!

Potem przeszli jeszcze dobry kawał drogi.

- Patrz, jak się zasnuwa - powiedział Johannes, wskazując palcem przed siebie. - Ale chmury!

- Nie - rzekł jego towarzysz - to nie chmury, lecz góry, wysokie góry, po których można dostać się aż do samych chmur. Ach, jak tam dobrze! Jutro będziemy już daleko-daleko!

Góry wcale nie były tak blisko, jak się wydawało: Johannes z towarzyszem szli cały dzień, zanim dotarli do miejsca, gdzie zaczynały się ciemne lasy, pnące się niemal do samego nieba, i leżały kamienne olbrzymy wielkości miasta; wejście na góry nie było błahostką, dlatego Johannes z towarzyszem zajechali odpocząć i nabrać sił do gospody położonej u podnóża.

Na parterze, w piwiarni, zebrało się dużo ludzi: właściciel marionetek ustawił tam, pośrodku izby, swój mały teatr, a ludzie usiedli przed nim półkolem, by podziwiać przedstawienie. Z przodu wszystkich, na samym najlepszym miejscu, usiadł gruby rzeźnik z ogromnym buldogiem. Uch, jak groźnie wyglądał buldog! On też usiadł na podłodze i wpatrywał się w spektakl.

Przedstawienie zaczęło się i przebiegało znakomicie: na aksamitnym tronie zasiadali król z królową, ze złotymi koronami na głowach i w sukniach z długimi-długimi trenami – środki pozwalały im na taki luksus. Przy wszystkich wejściach stały cudowne drewniane lalki ze szklanymi oczami i dużymi wąsami i otwierały drzwi, by przewietrzyć pokoje. Słowem, przedstawienie było cudowne i wcale nie smutne; ale oto królowa wstała i ledwie zrobiła kilka kroków, gdy Bóg wie co stało się z buldogiem: właściciel go nie trzymał, wskoczył prosto na scenę, chwycił królową zębami za cienką talię i – trak! – przegryzł ją na pół. Ależ to był horror!

Biedny właściciel marionetek strasznie się przestraszył i zmartwił przez biedną królową: była najpiękniejszą ze wszystkich jego lalek, a nagle ohydny buldog odgryzł jej głowę! Ale oto tłum się rozszedł, a towarzysz Johanesa powiedział, że naprawi królową, wyjął słoiczek z tą samą maścią, którą smarował złamaną nogę staruszki, i posmarował lalkę; lalka natychmiast znów stała się cała, a ponadto sama zaczęła poruszać wszystkimi członkami, tak że nie trzeba już było ciągnąć jej za sznurki; okazało się, że lalka była zupełnie jak żywa, tylko mówić nie mogła. Właściciel marionetek był z tego bardzo zadowolony: teraz nie musiał kierować królową, mogła sama tańczyć, inaczej niż inne lalki!

W nocy, gdy wszyscy ludzie w gospodzie położyli się spać, ktoś nagle zaczął wzdychać tak głęboko i przeciągle, że wszyscy powstawali, by zobaczyć, co i komu się przydarzyło, a właściciel marionetek podszedł do swojego małego teatru – westchnienia dochodziły stamtąd. Wszystkie drewniane lalki, i król, i straż, leżały wymieszane, głęboko wzdychały i wypłaszczwały swoje szklane oczy; im też chciało się, by posmarowano je maścią jak królową – wtedy i one mogłyby same się poruszać! Królowa zaś uklękła i wyciągnęła swoją złotą koronę, jakby mówiąc: „Weźcie ją, tylko posmarujcie mojego małżonka i моих дворзан!” Biedaczka właściciel nie mógł powstrzymać łez, tak żał mu było swoich lalek, poszedł do towarzysza Johanesa i obiecał oddać mu wszystkie pieniądze, które zbierze za wieczorne przedstawienie, jeśli ten posmaruje maścią cztery-pięć najlepszych z jego lalek. Towarzysz Johanesa powiedział, że pieniędzy nie weźmie, niech właściciel odda mu dużą szablę, która wisiała mu u boku. Otrzymaawszy ją, posmarował sześć lalek, które natychmiast zaczęły tańczyć, i to tak wesoło, że patrząc na nie, wszystkie żywe, prawdziwe dziewczyny również puściły się w taniec, заплясали i woźnica, i kucharka, i lokaje, i pokojówki, wszyscy goście, a nawet pogrzebacz i szczypce; no, ale ci dwoje runęli już przy pierwszym skoku. Tak, wesoła to była noc!

Następnego ranka Johannes i jego towarzysz opuścili gospodę, wspięli się na wysokie góry i wkroczyli w nieskończone bory sosnowe. Wędrowcy w końcu

wspinęli się tak wysoko, że dzwonnice na dole wydawały im się jakimisi czerwonymi jagódkami w zieleni, i gdziekolwiek spojrzeć, widać było na kilka mil wokół. Takiego piękna Johannes jeszcze nie widział; ciepłe słońce jasno świeciło z błękitnego, przejrzystego nieba, w górach rozlegały się dźwięki myśliwskich rogów, wokół panowała taka błogość, że Johannesowi z radości napłynęły łzy do oczu i nie mógł nie zawołać:

- Boże mój! Jakże bym cię pocałował za to, że jesteś taki dobry i stworzyłeś dla nas cały ten cudowny świat!

Towarzysz Johanesa również stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i patrzył na lasy i miasta oświetlone słońcem. W tej chwili nad ich głowami rozległo się cudowne śpiewanie; podnieśli głowy - w powietrzu płynął wielki, piękny biały łabędź i śpiewał, jak żadna inna ptaszyna; ale głos jego brzmiał coraz słabiej i słabiej, schylił głowę i cichutko-cichutko osunął się na ziemię: przepiękny ptak leżał u stóp Johanesa i jego towarzysza martwy!

- Jakie cudne skrzydła! - powiedział towarzysz Johanesa. - Takie duże i białe, nie mają ceny! Mogą nam się przydać! Widzisz, dobrze, że wziąłem ze sobą szablę!

I jednym ciosem odciął łabędziowi oba skrzydła.

Potem przeszli przez góry jeszcze wiele-wiele mil i w końcu ujrzeni przed sobą duże miasto z setkami wież, które lśniły w słońcu jak srebro; pośrodku miasta stał wspaniały marmurowy pałac z dachem z czerwonego złota; tu mieszkał król.

Johannes z towarzyszem nie chcieli od razu iść zwiedzać miasta, lecz zatrzymali się w jednej gospodzie, by trochę oczyścić się z drogi i ubrać się elegancko, zanim pojawią się na ulicach. Gospodarz gospody opowiedział im, że król jest człowiekiem bardzo dobrym i nigdy nie robi ludziom nic złego, ale że córka jego jest złą-przezłą. Oczywiście, jest pierwszą pięknnością na świecie, ale coś z tego, skoro przy tym jest złą wiedźmą, przez którą zginęło tylu wspaniałych książąt. Rzec w tym, że każdemu - i

księciu i żebrakowi wolno było się o nią starać: oblubieniec musiał jedynie odgadnąć trzy rzeczy, które księżniczka sobie wymyśliła; jeżeli odgadł - wychodziła za niego, a on po śmierci jej ojca zostałby królem nad całym krajem; jeżeli nie - groziła mu kara śmierci. Otóż jakaż to była obrzydliwa piękność, ta księżniczka! Stary król, jej ojciec, bardzo się tym smucił, lecz nie mógł nic z nią poradzić i raz na zawsze odmówił zajmowania się jej oblubieńcami - niechże sobie, powiadał, sama ich załatwia, jak chce. I tak przybywał oblubieniec za oblubieńcem, kazano im odgadywać, a za niepowodzenie ściągano im głowy - niechże się nie wtrącają, wszak ostrzegano ich zawczasu! Stary król jednak tak się tym smucił, że raz do

roku przez cały dzień stał w kościele na kolanach, on sam wraz ze wszystkimi swoimi żołnierzami, modląc się do Boga, by księżniczka stała się dobrotliwsza, lecz ona i słyszeć o tym nie chciała. Staruchy, które lubiły wypić, barwiły wódkę na czarno – czymże innym mogły wyrazić swój smutek? – Obrzydliwa księżniczka! – rzekł Johannes. – Należałoby ją wysiec. Gdybym ja był królem-ojcem, dałbym jej popalić! W tej właśnie chwili lud na ulicy zawołał „hurra”. Przejeżdżała księżniczka; istotnie była tak piękna, że wszyscy zapominali, jaka jest zła, i wołali jej „hurra”. Księżniczkę otaczało dwanaście piękności na karych koniach; wszystkie były w białych jedwabnych sukniach, z złotymi tulipanami w dłoniach. Sama księżniczka jechała na białym jak śnieg koniu; całe uprząż była usiana diamentami i rubinami; suknia księżniczki była z czystego złota, a bat w jej ręku lśnił niczym promień słoneczny; na głowie piękności jaśniała korona, zdająca się być zrobiona z prawdziwych gwiazdeczek, a na ramiona narzucony był płaszcz uszyty ze stu tysięcy przeźroczystych skrzydeł ważkowych, lecz sama księżniczka była przecież lepsza od wszystkich swoich strojów. Johannes spojrzał na nią, zaczerwienił się jak mak i nie mógł wydobyć z siebie ani słowa: była ładząco podobna do owej dziewczyny w złotej koronie, którą widział we śnie w noc śmierci ojca. Ach, była tak piękna, że Johannes nie mógł jej nie pokochać. „Nie może być – powiedział sobie – żeby ona naprawdę była taką wiedźmą i kazała wieszać oraz stracić ludzi, jeśli nie odgadną tego, co sobie wymyśliła. Wszystkim wolno się o nią starać, nawet ostatniemu żebrakowi; pójdę więc i ja do pałacu! Od losu, widocznie, nie ucieknę się!” Wszyscy zaczęli go od tego odwodzić – wszak i z nim stałoby się to samo, co z innymi. Towarzysz podróży Johanna postanowił, że daj Boże, wszystko pójdzie dobrze, wyczyścił buty i kaftan, umył się, uczesał swoje piękne blond włosy i poszedł sam jeden do miasta, a potem do pałacu. – Wejdźcie! – rzekł stary król, gdy Johannes zapukał do drzwi. Johannes otworzył drzwi, a stary król spotkał go ubrany w szlafrok; na nogach miał haftowane pantofle, na głowie koronę, w jednej ręce berło, w drugiej – jabłko królewskie. – Poczekaj! – powiedział i wsunął jabłko królewskie pod pachę, by podać Johannesowi rękę. Lecz skoro tylko usłyszał, że stoi przed nim nowy oblubieniec, zaczął płakać, wypuścił z rąk i berło, i jabłko królewskie, i jął ocierać łzy połamami szlafroka. Biedny staruszek król! – Lepiej nawet nie próbuj! – rzekł. – Spotka cię to samo, co wszystkich! No, popatrz no! I zaprowadził Johanna do ogrodu księżniczki. Brr... jaki horror! Na każdym drzewie wisiało po trzech, po czterech książąt, którzy niegdyś starali się o księżniczkę, lecz nie zdołali odgadnąć tego, co sobie wymyśliła. Wystarczyło, by powiał wiaterek, a kości głośno stukały jedna o drugą, strasząc ptaki, które nie śmiały nawet zajrzeć do tego ogrodu. Kołkami do kwiatów służyły tam ludzkie kości, w doniczkach tkwiły czaszki z oskalonymi zębami – otóż taki to był ogród księżniczki! – Widzisz! – rzekł stary król. – I z tobą będzie tak samo, jak z nimi! Lepiej nie próbuj! Strasznie mnie to martwi, biorę to tak blisko do serca! Johannes

pocałował dobrego króla w rękę i powiedział, że jednak spróbuje, tak bardzo pokochał piękną księżniczkę. W tej chwili na dziedziniec wjechała księżniczka ze swoimi damami, a król z Johannesem wyszli, by się z nią przywitać. Była istotnie przepiękna, podała Johannesowi rękę, a on pokochał ją jeszcze bardziej niż przedtem. Nie, oczywiście nie mogła być taką złą, obrzydliwą wiedźmą, jak mówili ludzie. Udali się do sali, a mali paziowie zaczęli częstować ich konfiturami i miodowymi piernikami, lecz stary król był tak strapiony, że nie mógł nic jeść, zresztą pierniki były nie dla jego zębów! Ustalono, że Johannes przyjdzie do pałacu nazajutrz rano, a sędziowie i cała rada zbiorą się, by słuchać, jak będzie odgadywał. Jeżeli poradzi sobie z zadaniem za pierwszym razem – przyjdzie jeszcze dwa razy; lecz nikomu dotąd nie udało się odgadnąć ani razu, wszyscy płacili głową już za pierwszą próbę. Johanna ani trochę nie niepokoiła myśl o tym, co się z nim stanie; był bardzo wesoły, myślał tylko o przepięknej księżniczce i mocno wierzył, że Bóg nie opuści go swoją pomocą; w jaki sposób mu pomoże – Johannes nie wiedział, ani też nie chciał o tym myśleć, lecz szedł sobie, podskakując, drogą, aż w końcu wrócił do karczmy, gdzie czekał na niego towarzysz. Lecz towarzysz podróży Johanna smutnie potrząsnął głową i rzekł: – Tak bardzo cię kocham, mogliśmy spędzić razem jeszcze wiele szczęśliwych dni, a nagle przyjdzie mi cię utracić! Mój biedny przyjacielu, gotów jestem płakać, lecz nie chcę cię smucić: dziś może ostatni dzień, który spędzamy razem! Poweselmy się więc przynajmniej dzisiaj! Zdążę się napłakać i jutro, gdy pójdziesz do pałacu! Całe miasto natychmiast dowiedziało się, że księżniczka ma nowego oblubieńca, i wszyscy strasznie się zasmucili. Teatr zamknięto, przekupki ze słodyczami obwijały swoje cukrowe prosiaczki czarnym krepem, a król i duchowni zebrali się w kościele i na kolanach modlili się do Boga. Smutek był powszechny: wszak i z Johannesem miało stać się to samo, co z pozostałymi oblubieńcami. Wieczorem towarzysz Johanna przygotował punch i zaproponował Johannesowi, by dobrze się zabawić i wypić za zdrowie księżniczki. Johannes wypił dwie szklanki i strasznie zachciało mu się spać, oczy same mu się zamknęły i zasnął twardym snem. Towarzysz podniósł go z krzesła i położył do łóżka, a sam, doczekawszy nocy, wziął dwa wielkie skrzydła, które odciął martwemu łabędziowi, przywiązał je do ramion, wsunął do kieszeni największy pęk różg z tych, które otrzymał od staruchy, co złamała sobie nogę, otworzył okno i poleciał prosto do pałacu. Tam usiadł w kącie pod oknem sypialni księżniczki i zaczął czekać. W mieście było cicho, cicho; oto wybiło trzy ćwierci dwunastej, okno rozwarło się i wyleciała księżniczka w długim białym płaszczu, z wielkimi czarnymi skrzydłami za plecami. Skierowała się prosto ku wysokiej górze, lecz towarzysz podróży Johanna stał się niewidzialny i poleciał za nią śladem, smagając ją różgami aż do krwi. Brr... cóż to był za lot! Jej płaszcz powiewał na wietrze niczym żagiel, a poprzez niego przebijał księżyc. – Cóż to za grad! Cóż to za grad! – mówiła księżniczka przy każdym uderzeniu różg, i słusznie jej się należało.

Wreszcie dotarła do góry i zapukała. Wtedy jakby grzmot zatętnił, a góra rozstała się; księżniczka weszła, a za nią towarzysz Johanna – wszak stał się niewidzialny, nikt go nie widział. Przeszli długi, bardzo długi korytarz z dziwnie lśniącymi ścianami – biegały po nich tysiące ognistych pajaków, gorejących jak żar. Następnie księżniczka i jej niewidzialny towarzysz weszli do wielkiej sali ze srebra i złota; na ścianach jaśniały duże czerwone i błękitne kwiaty podobne do słoneczników, lecz broń Boże zrywać je! Ich łodygi były odrażającymi jadowitymi węzłami, a same kwiaty – płomieniem wychodzącym im z paszcz. Strop był usiany świetlikami i sinawymi nietoperzami, które bezustannie trzepotały swymi cienkimi skrzydłami; cudowny to był widok! Pośrodku sali stał tron na czterech końskich szkieletach zamiast nóg; uprzęż na koniach była z ognistych pajaków, sam tron z mlecznobiałego szkła, a poduszki na nim z czarnych myszek, wbijających sobie wzajemnie zęby w ogony. Nad tronem był baldachim z jaskrawoczerwonej pajęczyny, usianej ładnymi zielonymi muchami, błyszczącymi nie gorzej niż klejnoty. Na tronie siedział stary troll; jego brzydka głowa uwieńczona była koroną, a w ręku trzymał berło. Troll pocałował księżniczkę w czoło i posadził ją obok siebie na

drogocenny tron. Tu rozbrzmiała muzyka; duże czarne świerszcze grały na harmonijkach ustnych, a sowa biła się skrzydłami po brzuchu – nie miała innego bębna. Ależ to był koncert! Małe krasnoludki z błędnymi ognikami na czapkach tańczyły po sali. Nikt nie widział towarzysza podróży Johanna, a on stał za tronem i wszystko widział oraz słyszał!

W sali było wielu strojnych i ważnych dworzan; lecz ten, kto miał oczy, zauważyłby, że dworzanie ci nie są niczym innym jak zwykłymi kijami z główkami z kapusty zamiast głów – troll ożywił ich i ubrał w szaty haftowane złotem; zresztą cóż za różnica, skoro służyli tylko do parady!

Gdy taniec się skończył, księżniczka opowiedziała trollowi o nowym narzeczonym i zapytała, co powinna zgadnąć następnego ranka, gdy ten przyjdzie do pałacu.

– Oto co – rzekł troll – trzeba wymyślić coś najprostszego, co mu nawet do głowy nie przyjdzie. Pomyśl na przykład o swoim trzewiku. Nigdy nie odgadnie! Każ wtedy ściąć mu głowę, ale nie zapomnij przynieść mi jutro w nocy jego oczu, ja je zjem!

Księżniczka nisko się ukloniła i powiedziała, że nie zapomni. Następnie troll otworzył górę, a księżniczka poleciała do domu, zaś towarzysz Johanna znów leciał za nią i tak smagał ją różgami, że jęczała i skarżyła się na silny grad oraz ze wszystkich sił spieszyła, by dotrzeć do okna swojej sypialni. Towarzysz podróży Johanna poleciał z powrotem do karczmy; Johannes jeszcze spał; jego towarzysz

odwiązał swoje skrzydła i również położył się do łóżka – coś dziwnego, порядково się zmęczył!

Ledwie zabłysnął świt, Johannes już był na nogach; jego towarzysz podróży także wstał i opowiedział mu, że nocą miał dziwny sen – jakoby księżniczka pomyślała o swoim trzewiku, dlatego prosił Johannes, by koniecznie nazwał księżniczce trzewik. On bowiem dokładnie słyszał to w górze u trolla, ale nie chciał nic opowiadać Johannesowi.

– Cóż, dla mnie wszystko jedno, co nazwać! – powiedział Johannes. – Może twój sen się sprawdzi: przecież cały czas myślałem, że Bóg mi pomoże! Ale mimo wszystko pożegnaj się z tobą – jeśli nie odgadnę, więcej się nie zobaczymy.

Ucałowali się i Johannes udał się do pałacu. Sala była wypełniona ludźmi aż po brzegi; sędziowie siedzieli w fotelach, opierając głowy o poduszki z puchu edredonowego – mieli bowiem tak wiele do myślenia! Stary król stał i wycierał oczy białą chusteczką do nosa. Lecz oto weszła księżniczka; była jeszcze piękniejsza niż poprzedniego dnia, mile się wszystkim ukłoniła, a Johannesowi podała rękę i powiedziała:

– No, witaj!

Teraz należało odgadnąć, o czym pomyślała. Boże, jak łaskawie patrzyła na Johannes! Lecz gdy tylko wypowiedział: „trzewik”, zbladła jak kreda i zadrżała całym ciałem. Jednak nie było rady – Johannes odgadł.

Ach! Stary król nawet zrobił fikołka z radości, wszyscy porozdziawiali usta! I zaczęli klaskać królowi, a także Johannesowi – za to, że prawidłowo odgadł.

Towarzysz Johannes, aż promieniał z zadowolenia, gdy dowiedział się, jak wszystko dobrze wyszło, a Johannes pobożnie złożył ręce i podziękował Bogu, mając nadzieję, że pomoże mu również w następnych razach. Przecież drugiego dnia trzeba było przyjść ponownie.

Wieczór minął tak samo jak poprzedniego dnia. Gdy Johannes zasnął, jego towarzysz znów poleciał za księżniczką i smagał ją jeszcze mocniej niż pierwszym razem, gdyż wziął ze sobą dwa wiązki różg; nikt go nie widział i znów podsłuchiwał radę trolla. Księżniczka miała tym razem pomyśleć o swojej rękawiczce, co towarzysz przekazał Johannesowi, ponownie powołując się na swój sen. Johannes odgadł i za drugim razem, a w pałacu zapanowała taka wesołość, że tylko trzymaj się! Cały dwór zaczął robić fikołki – wszak sam król dał wczoraj przykład.

Natomiast księżniczka leżała na kanapie i nie chciała nawet rozmawiać. Teraz cała sprawa zależała od tego, czy Johannes odgadnie po raz trzeci: jeśli tak, to ożeni się

z piękną księżniczką i odziedziczy po śmierci starego króla całe królestwo, jeśli nie – zostanie stracony, a troll zje jego piękne niebieskie oczy.

Tego wieczoru Johannes wcześniej położył się do łóżka, odmówił modlitwę przed snem i spokojnie zasnął, a jego towarzysz przypiął sobie skrzydła, przypasał z boku szablę, wziął wszystkie trzy wiązki różg i poleciał do pałacu.

Ciemność była taka, że oko wykoł; szalała taka burza, że dachówki spadały z dachów, a drzewa w ogrodzie ze szkieletami gięły się od wiatru jak trzciny. Błyskawice błyskały co minutę, a grzmoty zlewały się w jeden ciągły huk. I oto otworzyło się okno i wyleciała księżniczka, blada jak śmierć; lecz śmiała się z niepogody – wciąż jej było mało; jej biały płaszcz łopotał na wietrze jak ogromny żagiel, a towarzysz podróży Johanna smagał ją wszystkimi trzema wiązkami różg aż do krwi, tak że pod koniec ledwo mogła lecieć i z trudnością dotarła do góry.

– Grad tak siecze! Straszna burza! – powiedziała. – Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się wylatywać z domu przy takiej niepogodzie.

– Tak, widać, że porządnie ci się dostało! – rzekł troll.

Księżniczka opowiedziała mu, że Johannes odgadł i za drugim razem; jeśli stanie się to samo i po raz trzeci, on wygra sprawę, ona nie będzie mogła więcej przylatywać do góry i czarować. Było więc o czym smuć.

– Nie odgadnie już więcej! – powiedział troll. – Znajdę coś takiego, co mu nawet do głowy nie przyjdzie, inaczej jest trollem lepszym ode mnie. A teraz będziemy tańczyć!

I wziął księżniczkę za ręce i zaczęli tańczyć razem z krasnoludkami i błędnymi ognikami, a pająki wesoło skakały w górę i w dół po ścianach, jak żywe ogniki. Sowa biła w bęben, świerszcze gwizdały, a czarne świerszcze grały na harmonijkach ustnych. Wesoły to był bal!

Natańczywszy się do syta, księżniczka zaczęła się spieszyć do domu, inaczej mogliby jej tam szukać; troll powiedział, że odprowadzi ją, i w ten sposób dłużej będą razem.

Lecieli, a towarzysz Johanna smagał ją wszystkimi trzema wiązkami różg; nigdy jeszcze trolowi nie zdarzyło się wylatywać przy takim gradzie.

Przed pałacem pożegnał się z księżniczką i szepnął jej do ucha:

– Pomyśl o mojej głowie!

Towarzysz Johannesowi jednak usłyszał jego słowa i w tej samej chwili, gdy księżniczka wsunęła się przez okno, a troll chciał zawrócić, chwycił go za długą czarną brodę i szablą ściął jego obrzydliwą głowę aż po same ramiona!

Troll nie zdążył nawet mrugnąć okiem! Ciało trolla towarzysz podróży Johannesowi wrzucił do jeziora, a głowę zanurzył w wodzie, następnie zawiązał w jedwabną chustkę i poleciał z tym węzełkiem do domu.

Nazajutrz oddał Johannesowi węzełek, ale nakazał mu nie rozwiązywać go, dopóki księżniczka nie zapyta, o czym pomyślała.

Wielka pałacowa sala była wypełniona ludźmi aż po brzegi; ludzie tłoczyli się jeden przy drugim jak śledzie w beczulce. Rada zasiadała w fotelach z miękkimi poduszkami pod głowami, a stary król ubrał się w nowe szaty, jego korona i berło były wyczyszczone na błysk; natomiast księżniczka była blada i ubrana w żałobę, jakby wybierała się na pogrzeb.

- O czym pomyślałam? - zapytała Johannesowi.

Ten natychmiast rozwiązał chustkę i sam przestraszył się obrzydliwej głowy trolla. Wszyscy zadrżeli z przerażenia, a księżniczka siedziała jak skamieniała, nie mówiąc ani słowa. W końcu wstała, podała Johannesowi rękę - ведь odgadł - i, nie patrząc na nikogo, powiedziała z głębokim westchnieniem:

- Teraz jesteś moim panem! Wieczorem odbędzie się nasz ślub!

- To właśnie lubię! - rzekł stary król. - Oto prawdziwa sprawa!

Ludzie krzyknęli „hurra”, pałacowa straż zagrała marsz, dzwony zadzwoniły, a przekupki ze słodyczami zdjęły z cukrowych prosiąt żałobną krepe - teraz wszędzie panowała radość! Na placu wystawiono trzy pieczone woły z nadzieniem z kaczek i kur - każdy mógł podejść i odkroić sobie kawałek; w fontannach tryskało najprzedniejsze wino, a w piekarniach każdemu, kto kupił obwarzanki za dwa grosze, dawano w prezencie sześć dużych bułek z rodzynkami.

Wieczorem całe miasto było iluminowane, żołnierze palili z armat, chłopcy z petard, a w pałacu jedzono, pito, wznoszono toasty i tańczono. Szlachetni kawalerowie i piękne dziewczyny tańczyli ze sobą i śpiewali tak głośno, że na ulicy było słychać:

Wiele tu dziewcząt pięknych,
Miło im tańczyć i śpiewać!
Więc grajcie taneczną melodię,
Dość już dziewczynom siedzieć!

Hej, dziewczyno, wesелей,
Nie żałuj trzewiczków!

Lecz księżniczka wciąż jeszcze była wiedźmą i zupełnie nie kochała Johanna;
jego towarzysz podróży nie zapomniał o tym, dał mu trzy łabędzie pióra i flakonik z
jakimiś kroplami i kazał postawić przed łóżkiem księżniczki balję

z wodą; potem Johannes miał wylać tam te krople i wrzucić pióra, a gdy
księżniczka będzie kładła się do łóżka, strącić ją do kadzi i zanurzyć w wodzie trzy
razy – wtedy księżniczka uwolni się od czarów i mocno go pokocha.

Johannes zrobił wszystko tak, jak mu powiedziano. Księżniczka, wpadając do wody,
głośno krzyknęła i szamotała się w rękach Johanna, przemieniając się w dużego,
czarnego jak smoła łabędzia z błyszczącymi oczami; za drugim razem wynurzyła się
już jako biały łabędź, tylko na szyi pozostało wąskie czarne pierścień; Johannes
zawołał do Boga i zanurzył ptaka po raz trzeci – w tej samej chwili znów stała się
piękną księżniczką. Była jeszcze piękniejsza niż wcześniej i ze łzami w oczach
dziękowała Johannesowi za to, że uwolnił ją od czarów.

Rano przybył do nich stary król z całym orszakiem i zaczęły się gratulacje. Po
wszystkich przyszedł towarzysz podróży Johanna z kijem w ręku i torbą na
plecach. Johannes ucałował go i zaczął prosić, by został – przecież jemu
zawdzięczał swoje szczęście! Lecz tamten pokręcił głową i powiedział łagodnie:

– Nie, nadeszła moja godzina! Tylko spłaciłem swój dług wobec ciebie. Pamiętaj
biednego zmarłego człowieka, którego chcieli obrazić źli ludzie? Oddałeś im
wszystko, co miałeś, byle tylko nie niepokoić go w grobie. Tym zmarłym byłem ja!

W tej samej chwili zniknął.

Uroczystości weselne trwały cały miesiąc. Johannes i księżniczka mocno się
kochali, a stary król przeżył jeszcze wiele szczęśliwych lat, kołysząc na kolanach i
bawiąc swoim berłem i jabłkiem królewskim wnuczęta, podczas gdy Johannes
władał królestwem.